Rok 1935. 17 lutego. Nr. 8.

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"
POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ.



Jestem sobie narciarz mały,
Koleinę w śniegu żłobię.
Niech nade mną wrona kracze,
Pędzi za mną wiatr zuchwały,
Z tego sobie nic nie robię:
Mijam groźne śniegu zwały,
Nad doliny z góry skaczę,
Bo ja jestem narciarz mały.
Zawsze wesół, roześmiany,
W ruchu ciągle mi cieplutko.
Dla mnie zimą śnieg kochany,
Szkoda, że tak trwa króciutko.
O śnieg zimą Nieba proszę.
Za to lubię go, że biały.
Tylko błota to nie znoszę,
Bo ja jestem narciarz mały.

Zajmująca historja wydry.

Urodziła się w spokojnym stawie, ujętym w nieregularne brzegi. Ocieniały go stuletnie olsze i wiązy, otaczały wdzięcznie soczystą zielenią łąki. Urodziła się, gdy jeszcze ostatnie resztki zimowego szronu błyszczały w świetle księżyca po zakątkach nadbrzeżnych zarośli. Z bratem i siostrą dzieliła norę, do której wchód znajdował się od góry w gęstych krzakach, niedaleko wody. Z początku nic o tem wszystkiem nie wiedziała, gdyż przyszła na świat ślepa i od matki ani na krok się nie oddalała.

Ale kiedy już oczy jej przejrzały, a matka poprowadziła swe dzieci do wody, wtedy dopiero spostrzegła młodziutka wydra, że z nory prowadzi jeszcze drugie wejście w dół, które jednak wypełniała całkowicie woda. Z wielkim strachem, trzymając się silnie matki, przeszła po raz pierwszy ten nieznany otwór. Gdy jednak niebawem poczuła na swoim grzbiecie, okrytym futerkiem, ciepłe, wiosenne promienie słońca, rozłożyła się rozkosznie obok matki i rodzeństwa na piasczystym brzegu, pluskając wesoło szerokiemi łapkami po wodzie.

Tam daleko na stawie, dokąd często tęsknie spoglądała, leżały świeże, wielkie i soczyste liście wodnej lilji, a kuliste, zielone pączki sterczały z głębi wody na prostych łodyżkach.

Pewnego pięknego dnia przedsięwzięto na grzbiecie matki podróż na środek stawu. W wyprawie tej brała udział oprócz naszej wydry, także jej siostra, a również i brat. Gdy już małe były daleko wśród wody, zdjęła je matka z grzbietu i zaczęła uczyć używania nóg i ogona. Pełna troski płynęła obok dzieci, dopomagając im przy pływaniu pyskiem i nogami.

Gdy pierwsza trwoga została przełamana, a maleńkie zwierzątka przekonały się, że pływanie nietylko nie jest trudne, ale bardzo przyjemne, zaczęły same poruszać się w wodzie żwawiej, wykonując przytem ogromnie pocieszne ruchy.

Wkrótce jednak wróciły do swojej nory, gdzie matka schowała się wraz z przyczepionemi do niej młodemi, z widoczną trwogą, której przyczyny nasza młodziutka wydra wcale nie rozumiała. Wogóle nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństw, jakie jej ze wszystkich stron groziły.

Od tego czasu wychodziły z nory tylko nocą, lub wczesnym rankiem; potem pozostawały nieruchome w swej kryjówce.

Ojca swego, który dawniej zawsze zaopatrywał obficie całą rodzinę w ryby, widziała nasza młoda teraz coraz rzadziej. Polował on daleko na rzece przy tamie, skąd słychać tylko było w ciche noce wyraźny szmer spadającej wody. Aż raz, w księżycową, jasną noc, przyłączył się do towarzystwa i ojciec, wspaniałe, o przeszło metrowej długości, zwierzę. Na jego płasko-okrągłej głowie, zaledwie widoczne były ukryte w sierści krótkie uszy, które zamykał zawsze przed wciskającą się do nich wodą. Również i szerokie nozdrza miały podobne urządzenie. Potężne szczęki zamykał z tem większą siłą i pewnością, gdy udało mu się złapać jakąś rybę.

Nabrzmiałe, odstające wargi zdradzały energję, a długie, białe wąsy dokoła warg stanowiły bardzo wrażliwe narzędzie, rodzaj macek, służące również do poruszania i mącenia wody. Małe, chytrze błyszczące oczy, umiały — jak się zdawało — patrzeć raczej na odległość, niż z bliska. Może częste przebywanie w ciemności trochę je osłabiło.

Zato słuch miał nadzwyczaj delikatny: nic nie uchodziło jego uszom: ani krok zbliżającego się człowieka, ani zakradanie się jakiegoś złodzieja ryb, tupanie dzieci, temmniej pluskanie kaczek i innych wodnych ptaków. Nawet zarzucanie sieci i wędki w wodę słyszał wyraźnie.

Błyszczące futro ojca było koloru czarno-brunatnego, podczas gdy matka nosiła futro o wiele jaśniejsze. Najbardziej uderzające były jego szerokie, krótkie nogi z lekko owłosionemi błonami między palcami, zaopatrzonemi w potężne szpony, tudzież długi ogon, przypominający u nasady wiosło.

Gdy młode wydry miały już około 10 tygodni, zaczęła je matka pouczać żyć samodzielnie. Wyprowadzała je z kryjówki na głęboką wodę i tam pozostawiała własnemu losowi. Wkrótce też rozeszły się na wszystkie strony, przypatrując się ciekawie nieznanemu sobie światu.

Nasza młodziutka wydra popłynęła sama w gęstwinę z sitowia i lilij wodnych, ułowiła tam drobną rybkę, a potem rozłożyła się dla spoczynku na trawiastym brzegu stawu. Po jakimś czasie wróciła znowu na środek wody. Oddawna już paliła ją ciekawość, co też znajduje się na dnie stawu; teraz postanowiła popłynąć nareszcie w nieznaną krainę

Instynktownie zamknęła otwory uszu i nosa, tylko małe jej oczka starały się czemprędzej zbadać ciemną zieleń dna. Oplątały ją wkrótce liczne wodorosty, tysiące maleńkich rybek poczęło kręcić się koło niej, wymykając się zręcznie nieznanemu im jeszcze małemu rabusiowi. *(Ciąg dalszy nastąpi).*

Złote kule.

Głośno teraz w całej Polsce o pomarańczach. Dotychczas nabywanie ich dostępne było tylko dla ludzi majętnych, gdyż wysoka cena uniemożliwiała kupowanie tym, którzy liczyć się muszą z każdym groszem. A przecież są kraje, gdzie pomarańcze należą do owoców najzwyklejszych i gdzie jest ich taki nadmiar, że trzeba się ich pozbywać w masowej sprzedaży, aby nie ulegały zepsuciu. Świeżo zawarte stosunki handlowe z Hiszpanją, gdzie pomarańcze się rodzą, pozwolą u nas i uboższej ludności na korzystanie z tych przepięknych i nadzwyczaj zdrowych owoców. Warto zatem wiedziec coś więcej o nich, skoro na każdym kroku te złote kule witają nas swym dorodnym wyglądem i nęcącym zapachem.

Otóż drzewo pomarańczowe jest niezbyt wysokie, często nawet krzaczaste, zrzadka najeżone kolcami, pokryte zaś liśćmi wiecznie zielonemi. Kwiat ma biały, ślicznie odbijający od ciemnej zieleni listowia, o miłej upajającej woni. Owoc zawiera we wnętrzu po kilka lub kilkanaście ziarenek, z nich niejedno ma i po cztery zarodki, z których znowu kiełkować może nowa roślina.

Pomarańcza wraz z cytryną należy do jednej i tejsamej rodziny drzew, i obejmuje jedenaście gatunków. Hodowla gatunków pomarańcz jest bardzo rozpowszechniona we wszystkich krajach ciepłych, nietylko w Europie, ale i gdzieindziej, n. p. w Ameryce. Mieszkańcy Sewilli i Walencji, krain leżących w Hiszpanji, a także mieszkańcy wysp Balearskich (na morzu Śródziemnem, niedaleko wschodnich wybrzeży Hiszpanji) żyją przeważnie z uprawy pomarańcz. Są one rozpowszechnione także we Włoszech i na Sycylji, a zwłaszcza słynie z pomarańcz nieszczęsna Messyna, nawiedzona przed dwudziestu kilku laty straszliwem trzęsieniem ziemi.

Z wysp Balearskich dostarcza szczególnie Malorka owoców najlepszych i w największej ilości, są tam bowiem całe doliny zasiane poprostu drzewami pomarańczowemi. Stamtąd też przychodzą do nas najprędzej, albowiem tam najwcześniej dojrzewają. Zbiór odbywa się dwa razy do roku: zbiór główny i dodatkowy. Na targ jednak idzie owoc ze zbioru pierwszego, gdyż te drugie zrywa się jeszcze zupełnie niedojrzałe. Wogóle czas zbioru jest różny dla różnych miejscowości i trwa od września do marca. Zależy od tego, dokąd przeznaczona jest wysyłka: im dalsze jest miejsce przeznaczenia, tem owoc musi być mniej dojrzały, a im bliższe, tem może być dojrzalszy. Gdy już czas nadejdzie, zrywa się pomarańcze codziennie i to z każdego drzewa osobno, przyczem należy uważać, by nie odrywać szypułek od owoców, gdyż w przeciwnym razie, miejsce to staje się łatwo dostępne dla różnych grzybków, czyli bakteryj, które powodują gnicie. Gnicie zaś następuje wtedy, kiedy tlen z powietrza dostanie się do soku; zatem miejsce zranienia owocu przez wyrwanie szypułki ułatwia właśnie owo połączenie się tlenu z sokiem zawartym w owocu. Dlatego to w Ameryce używają dużych, szczelnych skrzyń i w nie pakują pomarańcze; mimo to jednak owoce często się psują, niemożliwem jest bowiem zupełne odgraniczenie powietrza.

Po dokonanym zbiorze suszy się pomarańcze warstwami w dużej szopie przez cztery do pięciu dni, poczem dopiero pakuje się w skrzynie i wysyła do miejsc przeznaczenia.

Odmianą pomarańczy jest t. zw. apelzyna, która różni się od niej tem, że nie ma na sobie takiej brodawki, jak ona. W handlu sprzedają ją pod wspólną nazwą pomarańczy. Wreszcie do tej samej rodziny, co pomarańcze, należą mandarynki, drzewa pochodzące z Kochinchiny, zupełnie bez cierni. Owoc ich mały, spłaszczony, okryty jest cieniutką łupką, która posiada osobliwy zapach. Również i we Włoszech hodują mandarynki.

Życzymy wszystkim dzieciom czytającym „Dzwoneczek", żeby każde mogło korzystać z tego słonecznego owocu, jakim jest pomarańcza, a te domy, w których nie bywa ona rzadkością, niechaj pamiętają o tem, że są nędzne izdebki, do których nigdy nie wpadnie taka — radość dzieci budząca, złota kula.

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział MARJAN WARTA.

(Ciąg dalszy).

Guma arabska ma też duże zastosowanie u introligatorów, a służy do przyklejania nietylko papieru, lecz również płócien i skór. Zresztą używa się jej nietylko do lepienia, gdyż fabrykanci dodają tej gumy także do atramentu

i do farb tak zwanych akwarelowych, czyli rozpuszczanych w wodzie, dla użytku malarzy.

Obok tej akacji, której ojczyzną jest właściwie Arabja, a którą plantatorzy hodują dziś w innych krajach na południu Azji, pan Willington na Malacce uprawiał traganek. Roślina ta z rodziny strąkowych, pochodzi z Grecji, gdzie jest bardzo pospolitą, a nosi tam nazwę: tragakantus. Rośnie ona w różnych krajach azjatyckich, gdzie jest bardzo przez plantatorów ceniona dla osobliwego wycieku swego, który w handlu światowym miewa rozmaite nazwy, jak tragant i dragant lub adragant. Jest to rodzaj gumy, która się w wodzie nie rozpuszcza. Znaleźlibyśmy ją w rozmaitych plasterkach na ranki i odciski, oraz w pomadach używanych dla wydelikacenia skóry twarzy i rąk, lub do pielęgnowania włosów. Ale niktby się nie domyślił, że tensam tragant, jaki znajdziemy w plasterku na pryszczyk na czole, lub karku, spotkać można i w rozmaitych cukrach i ciasteczkach, lecz jest to już tajemnicą cukierników.

Nakoniec w plantacjach indochińskich pana Willingtona uprawiano jeszcze dwie rośliny: smaczelinę i gumigutnik. Obie one wydają z siebie żywicę śluzową, rozpuszczalną w wodzie, a trującą. Sok ten zasuszony w postaci ciemno-żółtych bryłek o brzegach ostrych a gładkiej powierzchni odłamu, znany jest w handlu pod nazwą gumiguty.

Znają ją malarze, którym ona daje piękną żółtą farbę do rozpuszczania w wodzie; znają też lekarze, którzy chorym zapisują przezornie tę truciznę, jako środek na biegunkę. Wszystko to stanowiło przedmiot handlu i obecną podstawę majątku ojca garbuska, który kilka razy jeździł na Malakkę zwiedzać te plantacje i za każdym razem przywoził sobie stamtąd do Batawji to zabawne małpki, to znów przedziwnie piękne okazy pawi o wspaniałych ogonach.

Niestety, jak się właśnie pan Willington żalił przy kolacji wobec swego gościa, plantacje jego prześladują jakieś nieszczęścia. Naprzód plaga potwornych owadów wyrządziła znaczne szkody w drzewach akacjowych, a w ostatnich tygodniach tajfun, jedna z owych potężnych burz wirowych, jakie tak często nawiedzają wybrzeża azjatyckie.

— Poprostu, muszę ci się przyznać — mówił ojciec Willa do pana Mersena — że jeżeli tak pójdzie dalej, i moje plantacje nadal trapić będą wulkany naprzemian z tajfunami, to będę zrujnowany do szczętu. Na chwilę przed twoim przyjazdem właśnie układałem się z jednym z tutejszych znajomych, by się wziąć na Jawie do hodowania ryżu lub trzciny cukrowej i dać pokój raz na zawsze wszelkiej gumie i gutaperce.

Rozśmiał się na to pan Jan.

— A ja tymczasem, kochany Robercie — zawołał — chciałem cię właśnie namówić do dalszych interesów, akurat takich, jak twoja gutaperka, którą ci lawa zalała na Molukkach. *(Ciąg dalszy nastąpi)*

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Szarada.

Gdy się taka bieda zdarzy,
Że ci *pierwsze* rękę sparzy,
Wołaj prędko o oliwę
Na swe bóle dość dotkliwe.
Lecz bez płaczu i bez skargi —
Cicho, *drugie!* Zamknąć wargi!
Wszystko zgoi się paradnie.

Każdy przecie wie to snadnie,
Że cierpliwość *trzecia - druga*
Nie będzie tu nazbyt długa.
Z tego *całość* wyjdzie taka:
Jest to miasto dla Polaka
Wielkie, drogie i kochane,
Wszystkim obcym dobrze znane.